

A woman with long dark hair, wearing a patterned dress, is captured in a dynamic pose as if running or dancing on a beach. The background is a soft-focus view of the ocean and sky, overlaid with a teal color filter. The entire image is decorated with faint, white line-art patterns of various flowers and leaves. The text 'Perła' is prominently displayed in the upper center in a large, white, serif font, with a thin white horizontal line underneath it.

Perła

Carolina

De

Robertis



1

Nawiedzenie

Umysł nie potrafi objąć niektórych rzeczy samodzielnie. Więc słuchaj, jeśli umiesz, całym swym jestestwem. Historia ta napiera i domaga się opowiedzenia, tu i teraz, kiedy jesteś tak blisko, a przeszłość dyszy ci w kark.

Zjawił się drugiego marca 2001 roku kilka minut po północy. Byłam sama. Usłyszałam cichy odgłos dobiegający z salonu, drapanie, jakby skrobanie paznokciami o twardą podłogę, potem zapadła cisza. W pierwszej chwili nie mogłam się poruszyć; zastanawiałam się, czy nie zostawiłam otwartego okna, ale nie. Wzięłam ze stołu nóż pobrudzony mięszem kabaczka i ruszyłam powoli korytarzem w stronę salonu, nóż wskazywał mi drogę, i pomyślałam, że jeśli dojdzie do walki, będę gotowa, wbiję ostrze po sam trzonek.

Zobaczyłam go, kiedy wyjrzałam zza załomu ściany, leżał zwinięty na boku, nagi, i ociekał wodą na dywan. Mokłą skórę w kolorze popiołu oblepiały wodorosty. Bił od niego smród ryby, miedzi i zgniłych jabłek. Dookoła nic się nie poruszało: rozsuwane szklane drzwi do ogrodu były szczelnie

zamknięte, zasłony wisały spokojnie, niewzburzone, nigdzie na podłodze nie zauważyłam mokrych śladów, wskazujących, którędy mógł przyjść albo się przyczołgać. Stałam jak sparaliżowana, jakby moje ciało zamieniło się w rozgrzane przewody, a w pokoju aż iskrzyło od niebezpieczeństwa.

– Idź sobie – powiedziałam.

Nie drgnął.

– Idź sobie stąd, do diabła – powtórzyłam, tym razem głośniej.

Z ogromnym wysiłkiem podniósł głowę i otworzył oczy. Były duże i bezdenne. Patrzyły na mnie, oczy dziecka, oczy boa. W tym momencie coś we mnie pękło; jak statek, który się zerwał z kotwicy, zewsząd otaczała mnie groza ciemnej toni, a ja rozumiałam, że nie mogę zawrócić.

Uniosłam nóż i wycelowałam w jego stronę.

Mężczyzna zadrzał, głowa opadła mu na podłogę. Instynktownie chciałam do niego podbiec, podnieść go, podać mu coś ciepłego do picia, powiedzieć, że wezwę pogotowie. Lecz może on udaje, może ma nadzieję, że podejść bliżej, a wtedy się na mnie rzuci? Nie rób tego. Nie zbliżaj się do niego. Cofnęłam się o krok i czekałam. Nie próbował więcej podnosić głowy, obserwował mnie kącikami oczu. Minęła minuta. Nie mrugnął powieką, nie poruszył się ani nie odwrócił wzroku.

– Czego pan chce? – zapytałam w końcu.

Zaczął poruszać szczęką, powoli, mozolnie. Otworzył usta i wylała się z nich na dywan woda, gęsta i brązowa jak rzeczny nurt. Zgniły, mulisty zapach w pokoju przybrał na

sile. Cofnęłam się jeszcze bardziej i oparłam o ścianę. Poczulałam jej chłodną twardą powierzchnię, pragnęłam, żeby wyszeptala do mnie: „Ćśśś, nie martw się, są jeszcze na tym świecie trwałe rzeczy”, lecz to była tylko ściana, nie miała nic do powiedzenia.

Mężczyzna obracał w ustach puste powietrze. Przyglądałam się, jak próbuje sformułować słowo. W końcu wydobył z siebie głos – nieokreślone, zbyt głośne dźwięki, jak ktoś, kto nie nauczył się jeszcze rzeźbić języka.

– Co... iii... ahhh.

Pokręciłam głową.

Ponownie wyartykułował te same dźwięki, tylko wolniej:

– Coo. Iiii. Aaaa.

Spróbowałam poskładać je do kupy.

– Coja? – spytałam, zastanawiając się: czy to imię, nazwa, miejsce, o którym nigdy nie słyszałam?

– Coo. Miiii. Aaah.

Machinalnie kiwnęłam głową.

– Coo. Miiiiii. Da.

I nagle zrozumiałam.

– Co-mi-da. Jedzenie. Jedzenie?

Skinał głową. Woda kapala z jego twarzy zbyt obficie, aby mógł to być pot. Sączyła się z porów niczym z ludzkiej człękoksztaltnej gąbki wyciągniętej z wody, choć przecież nawet gąbki przestają kiedyś ociekać, a tymczasem ten człowiek ani na moment nie wysychał. Nie spuszczając go z oczu, przycisnęłam nóż do ramienia, żeby sprawdzić, czy to nie sen. Ostrze przecięło skórę, z rany popłynęła krew, poczułam ból,

ale się nie obudziłam, nie znalazłam się w innej rzeczywistości. Gdyby był tu Papá, nie zobaczyłby tego upiora, a gdyby zobaczył, bez słowa pchnąłby go nożem, po czym nalał sobie szkockiej i patrzył, jak Mamá pierze dywan. Spojrzałam nieznajomemu w oczy i serce zaczęło mi walić. Powinnam go zaatakować, pomyślałam. Powinnam go wyrzucić z domu. Lecz nie mogłam się zmusić ani do jednego, ani do drugiego. Później zrozumieć, że w tej właśnie chwili zaczęło się moje prawdziwe życie: w chwili kiedy nie wiedząc dlaczego, wbrew rozsądkowi i ku własnemu zdumieniu, opuściłam nóż i poszłam szukać jedzenia.

Kuchnia wyglądała dokładnie tak, jak ją zostawiłam, tylko woda w garnku się zagotowała i syczała, wyskakując na palnik. Gotowałam bakłażana dla zółwia Lola, który stał niewzruszony przy lodówce i wyciągał szyję. Na blacie wypalił się mój papieros. Popatrzyłam na niego wstrząśnięta, miałam wrażenie, że to zupełnie inna noc niż kilka minut wcześniej, kiedy paląc, siekałam bakłażana i myślałam sobie – jakbym dzięki powtarzaniu tej myśli mogła w nią uwierzyć – że to dobrze być samej, mam cały dom dla siebie, i czy to nie wspaniale, że mogę robić, co mi się podoba, jeść tosty na obiad, tańczyć nago w kuchni, jeśli mi przyjdzie ochota, zostawiać brudne naczynia na kanapie, siedzieć z szeroko rozstawionymi nogami, płakać i nie musieć się nikomu z tego tłumaczyć.

Zgasiłam gaz pod garnkiem i zaczęłam przetrząsać lodówkę. Mamá zostawiła dom dobrze zaopatrzony. Zebrałam na tacy różne rzeczy do jedzenia i picia – goudę, chleb, pieczonego kurczaka z ziemniakami, z zeszłego wieczoru,

białe wino, szklankę wody, kilka nadziewanych cukierków w złotym pudełeczku – a następnie wyszłam z powrotem na korytarz. Między naczyniami cały czas miałam ukryty nóż. W pustym powietrzu za plecami słyszałam protesty rodziców, a ja nie umiałam im odpowiedzieć. Czułam na sobie ciężką pelerynę ich dezaprobaty, ich niepokój na widok tak rażącego wykroczenia przeciw zdrowemu rozsądkowi. Idąc korytarzem w stronę salonu, wyobrażałam sobie ich krzyki: „Perlo, co ty najlepszego wyprawiasz?”.

Mężczyzna leżał nadal w tej samej pozycji, skulony jak płód, na burgundowym dywanie, który po zamoczeniu zrobił się prawie czarny. Nie trząśł się, nie poruszał, tylko jedna naga stopa uderzała cicho o podłogę. Wpatrywał się w ścianę, nie mrugając oczami. Rano wstanę i znajdę pusty, suchy dywan, ponieważ żadna z tych rzeczy się nie zdarzyła.

Położyłam tacę na podłodze obok jego głowy. Spojrzał na jedzenie jak na przedmioty z innego, zatopionego królestwa. Nie poruszył się, nie zaczął jeść, a ja zdałam sobie sprawę, że prawdopodobnie nie może wstać, bo ledwo starcza mu sił na poruszanie ustami. Był bezbronny jak oszołomione dziecko i może czekał, aż go nakarmię, pomału, kęs po kęsie. Poczulałam odrazę na myśl o mojej dłoni zbliżającej się do jego ust, o jego mokrej skórze ocierającej się o moją, więc czekałam. Wydał jakiś odgłos – żalosne, przepełnione tęsknotą samogłoski. Minęła kolejna minuta.

W końcu spytałam:

– Chce pan kurczaka?

Prawie niedostrzegalnie pokręcił głową.

– Sera?

Ponownie zaprzeczył.

– Czekolady?

Też nie.

– Wody?

Skinął głową i oczy rozszerzyły mu się błagalnie.

Nie było wyjścia. Nie mógł poradzić sobie sam. Wzięłam z tacy szklanke i przyłożyłam mu do ust, a on uniósł głowę o kilka centymetrów. Z bliska zauważyłam wilgotny połysk na jego twarzy, niebieskawe zabarwienie ust. Ostrożnie przechyliłam szklanke, a on zaczął poruszać szczęką, jakby gryzł wodę, jakby była takim samym stałym pokarmem jak chleb. Uważałam, żeby nie dotknąć palcami jego skóry, chociaż wstręt walczył we mnie z ciekawością: jakie to by było uczucie?

Skończył jeść i głowa opadła mu z powrotem na podłogę.

– Kim jesteś? – spytałam.

Lecz on zamknął oczy. Nie wiedziałam, co ze sobą zrobić, więc przez chwilę siedziałam obok niego na podłodze. Zastanawiałam się, czy go nie wynieść – do ogrodu albo na ulicę – ale wydawał się za ciężki. Poza tym, jeśli go ruszę, może się obudzić, a w dodatku zobaczą go sąsiedzi. Lepiej nic nie robić, iść do łóżka, a raniem zniknie tak samo, jak się pojawił. Nie było to może zbyt racjonalne rozwiązanie, ale przynajmniej przetrwam jakoś noc.

Byłam zmęczona. Minęło dziesięć dni od mojej kłótni z Gabrielem, od dnia, kiedy go zostawiłam na urugwajskiej plaży z pustymi rękami i pustką w oczach, bez obietnicy, że się jeszcze zobaczymy. Od tamtej pory nieprzyjemne wizje nie pozwalały mi spać. Rankiem jednak niezmiennie wsta wałam, polerowałam się z wierzchu – szlifowałam jak za-

wsze olśniewającą, pewną siebie młodą kobietę, dobrą córkę i zdolną studentkę, rozpoczynającą czwarty rok na uniwersytecie, idącą gładko przez świat, i choć w środku szalał we mnie chaos, spychałam go w rozpadliny dnia, aby nikt go nie odkrył.

Jedyną osobą, która potrafiła przejrzeć na wylot tę maskę, był Gabriel. Kiedy się poznaliśmy cztery lata temu, sądziłam, że to z powodu wieku, ponieważ jest siedem lat starszy ode mnie i bardziej wyrafinowany. Lecz niewielu dwudziestopięcioletnich chłopców potrafiłoby za fasadą zrównoważonej osiemnastolatki dostrzec ziejącą czarną dziurę. Udawało mi się zwodzić nauczycieli, przyjaciół, rodziców i ich znajomych, wszystkich poza Gabrielem. Już na początku naszej znajomości, kiedy powiedziałam, że muszę się przygotowywać do egzaminu z psychologii, odrzekł: „Tyle tego Freuda, a nie umiesz zobaczyć swoich własnych demonów”. Potem pocałował mnie ze śmiechem, co mnie zezłościło, a jeszcze bardziej rozwścieczyło mnie moje własne pragnienie, aby odwzajemnić jego pocałunek. „Nie gadaj mi o demonach – warknęłam – dopóki nie pokonasz swoich”. Popatrzył na mnie, jakbym objawiła mu sekret uwodzenia. Tego wieczoru się nie uczyłam, w każdym razie nie Freuda; studiowałam stromizny jego ciała, pożądanie jego dłoni, dotyk ust na mojej skórze, twardą męskość napierającą na mnie przez dzinsy. To był nasz pierwszy rok, najmniej skomplikowany, kiedy byłam po prostu Perłą i nie musiałam się utożsamiać z ludźmi, z którymi coś mnie łączyło; zanim zaczęliśmy rozmawiać o jego pracy i mojej rodzinie, nie wspominając o wybuchowej mieszance obydwu

tematów; zanim nasze wizerunki zaczęły pękać, zanim rozpadliny zaczęły się rozprzestrzeniać niczym lustro stłuczone kamieniem. W tamtych czasach to nam wystarczało – całować się, śmiać i kłócić, palić, pić i turlać się po sobie, aż żar, jaki rozniecaliśmy, wyrzywał słońce ze snu.

Rozmyślałam o tym wszystkim w czasie, gdy zostawiłam nieznajomego na podłodze i wróciłam do kuchni, aby nałożyć ugotowanego bakłazana do miseczki Lola, który na razie gdzieś się ukrył, ale z pewnością wyjdzie w nocy, kiedy dom pograży się we śnie. Ruszyłam po schodach do sypialni, wyczerpana, a jednocześnie przytomna do szpiku kości. Pragnęłam cofnąć czas i powrócić do tych pierwszych nocy z Gabrielem, wejść w niego, poczuć jego zapach, jego pełen życia głos, wzrok, pod którym czułam się przezroczysta. Otulona jego obecnością, odszukałabym kobietę, którą przy nim byłam – lub wierzyłam, że mogę nią być. Kim była ta kobieta? To kobieta z podziemia, odważna, utrzymująca swoje sekrety niczym pokonane, zduszone węże w obu dłoniach. Podczas nocy spędzanych z Gabrielem przeczuwałam obecność tej kobiety, widziałam jej przebłyski, wyobrażałam sobie siebie, gorejącą, przepalającą na wskroś swoją rzeczywistość, aby przeistoczyć się w kobietę węża, z włosami w płomieniach, gotową do powstania. Lecz to były tylko absurdalne fantazje, zresztą dziesięć dni temu zamknęłam za sobą te drzwi. Gabriel zniknął z mojego życia i ja sama to sprawiłam. Musiałam to zrobić, nie miałam wyboru, powtarzałam to sobie w myślach każdej nocy, słowo po słowie – nie miałam wyboru, nie miałam wyboru, nie miałam wyboru – niczym zakłęcie,

którego siła rośnie z każdym powtórzeniem. Myślałam, że do mnie zadzwoni, ale telefon milczał. Gabriel był bardziej rozgniewany, niż przypuszczałam. Powiedziałam sobie, że jeśli nie odezwie się w ciągu siedmiu dni, to znaczy, że wszystko nieodwołalnie skończone, i kiedy minął tydzień, a on nie dał znaku życia, miałam wrażenie, że pęknie mi serce, zamiast się jednak rozplakać, poszłam do knajpy nieopodal uniwersytetu, gdzie znalazłam pewnego nieśmiałego kumpla z roku, imieniem Osvaldo, i pozwoliłam się zabrać do domu. Przyszło mi to szokująco łatwo, wystarczyło spojrzenie o ułamek sekundy dłuższe niż zwykle i po pięciu minutach chłopak stawiał mi drinka, a pół godziny później wyszliśmy z baru w rozszalałą od dźwięków noc. Zachowywał się jak górnik, który trafił na żyłę złota. Był miłym chłopakiem, ale kiedy wyciągnął dłoń, aby mnie dotknąć, nie znalazł niczego poza ciałem. Ani przez moment nie wyczuł mojej wewnętrznej formy, której nawet ja sama nie potrafiłam stawić czoła, lecz Gabriel jej zawsze szukał, sondował ją, pragnął zrozumieć. Dotyk Osvalda sprawiał mi przyjemność – kiedy zaplatał sobie wokół szyi moje nogi niczym linę, kiedy w czasie seksu przyspieszał z czystego podniecenia – ale przyjemność czerpał ktoś inny, dziewczyna, która wzięła moje ciało na jedną noc i którą ledwie rozpoznawałam. Leżałam potem naga w półmroku i myślałam: no i proszę, Perlo, masz teraz to, czego chciałaś – nie musisz się więcej czuć obnażona, możesz ukryć swoje prawdziwe ja tak głęboko, że nikt go nie znajdzie. Powinnam poczuć ulgę albo choć odrobinę satysfakcji, ale czułam się tylko okropnie samotna.

I byłam samotna przez trzy następne noce, dopóki do mojego domu nie włamał się nieznajomy, nie tłukąc przy tym ani jednej szyby.

Budzi się rankiem ze snu, który wznosi się jak fala przyboju. Pokój zalewa słońce, jest ostrzejsze w powietrzu, niż kiedy przenika przez wodę. Bo przecież był przedtem w wodzie, prawda? Z jego mglistej, rozwodnionej pamięci wypływa wspomnienie światła tonącego w wodzie, jego powolny rytm, dyspersja promieni w gęstym środowisku. Tylu rzeczy nie pamięta, ale pamięta jedno: stracił kiedyś ciało, choć nie wie, jak do tego doszło. W jakiś sposób zniknął, potem umarł, a potem bardzo długo unosił się w wodzie. Jego domem były morze i rzeka. Aż w końcu, ostatniej nocy, wzniósł się w powietrze, lekki, radosny, niewidzialny, ciemność ocierała się o jego nagi umysł, nie miał formy, nie miał ciała, był przezroczysty jak powietrze – czarne, słodkie i nieważkie – czuł, że może się wznieść do słońca, lecz w nocy nie było słońca. Ani księżyc. Ale i tak nie ciągnęło go do nieba, przyciągała go ziemia, wybrzeże, gdzie migotały i lśniły chełpliwie małeńkie światełka. Miasto. Jego miasto. Buenos Aires. Łaknął czegoś, co się tam znajdowało, lecz nie wiedział, co to takiego. Znał tylko głód i drobinki światła.

Popłynął w stronę miasta, a w tym czasie jego forma zaczęła się zmieniać. Z wolna przyjmował ludzką postać. Na skraju miasta stały domy pełne światła i ciemności. Przyciągały go. Przyciągał go jeden z nich.

A potem nagle znalazł się tutaj, w tym pokoju, gdzie światło porusza się tak szybko, że przesywa go na wskroś. Nie przywykł do tego. Do niczego nie przywykł – ani do tego dużego pokoju, ani do mokrego giętkiego ciała, w którym go zamknięto, ani do porannego słońca, które ogłasza wrzaskliwie swoją obecność, odbija się od ścian i wiszących na nich obrazów, od statku, wzgórz i zniekształconych zegarów, do tego słońca, od którego krzyczy pokój. Kanapa zdaje się puchnąć, półka z książkami patrzy na niego z góry, dywan łśni na brzegach i pieśń się urywa, wielobarwna, niewidzialna. Szybkie światło przecina każdy milimetr jego ciała, a on nie może krzyknąć, słyszy pokój i słyszy światło, czuje jego zapach, pozwala, aby go przeniknął jego cytrynowy miąższ, zroszony potem poranka.

Wchodzi do pokoju – kobieta, która była tu w nocy. Ma na sobie czerwone ubranie i wygląda wspaniale. Jest jak prawdziwy cud. Z jakiegoś powodu bardzo silnie na niego działa, to coś ważnego, jątrzącego, choć nie ma pojęcia co. Wiedza splywa na niego chaotycznie, w ostrych, nagłych olśnieniach, jego umysł jest naczyniem pełnym odprysków, których nie potrafi przesiać ani zebrać, ani zrozumieć, może tylko czekać, aż go przesyją, dopiero wtedy dowie się, że tam są. Kobieta podchodzi bliżej. Patrzy na niego ze słabo maskowanym obrzydzeniem.

Nadal tu jesteś, mówi.

Patrzy na nią.

Wyglądasz, jakbyś nabrał sił.

Milczy.

Muszę wyjść.

Kolory, myśli, w jej twarzy są kolory, jakich nigdy nie widział.

Co tu robisz?

Kręci głową.

Nie wiesz?

Jej usta są tak samo czerwone jak ubranie. Ma długie ciemne włosy, ciężką zasłonę wokół ramion. Przypomina mu się inna kobieta z ciemnymi włosami na ramionach, jej wspomnienie wrzyna się w jego umysł, miała na imię Gloria; w dniu, kiedy przyszły po niego czarne buty, jej imię dzwoniło mu w myślach, Gloria, Gloria.

Kobieta wstaje. Muszę iść. Wrócę wieczorem.

Zniknęła.

Patrzy w okno, przez które do pokoju wpływa światło razem z cichym odgłosem przejeżdżającego samochodu. Odprysk wrzyna się głębiej. Czarne buty oraz imię Glorii wibrują coraz mocniej. Przypomina sobie.

W metrze do centrum Buenos Aires omal nie przegapiłam swojej stacji i musiałam się przepychać przez ciżbę mężczyzn w garniturach, żeby wyjść przez zasuwane drzwi, nim się zamkną. Wbiegłam po schodach razem z gęstym tłumem ludzi zmierzających w tym samym kierunku, nierozmawiających ze sobą, nawet na siebie niepatrzących, skupionych tylko na tym, aby jak najszybciej dotrzeć tam, dokąd zmierzają. Zwykle, wchodząc po tych schodach, w ogóle nie uważałam tych ciał wokół mnie, pochłonięta jakimś kłopo-

tem sercowym przyjaciółki albo zbliżającym się egzaminem, lecz dzisiaj czułam ich obecność wyjątkowo żywo, ich pęd, ich skulone, pofałdowane psychiki.

Wyłonił się ze stacji na jasne dzienne światło. Ulica wyszła nam na spotkanie w jazgocie niecierpliwych pojazdów i trąbiących klaksonów. Nad naszymi głowami jak zawsze wznosiły się wieżowce, rzucały nieubłagane cienie, lecz dzisiaj były wyższe niż kiedykolwiek przedtem. Nieznajomi wokół mnie chodzili w rytm niesłyszalnego tykania jakiegoś ukrytego potężnego chronometru, niewidzialnej maszyny napędzającej Buenos Aires, i choć zwykle bez zastanowienia wpadałam razem z nimi w ten rytm, dzisiaj nie mogłam iść tak jak oni. Moje nogi poruszały się spontanicznie, niezależnie od mojej woli. Nie potrafiłam wpaść w takt zgodny z własnym rozsądkiem. Nie da się utrzymać kroku zgodnego z rozsądkiem, kiedy w twoim domu pojawił się ociekający wodą mężczyzna, który właściwie może nawet nie być mężczyzną. Torebki i plecaki kołysały się ze złością, kiedy wyprzedzali mnie ich właściciele. To nie moja wina, pomyślałam, to przez tę wodę: przesączała się w moją świadomość i wsiąkała w nią, rozmaczała, niszczyła jej regularny mechanizm. Zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie wpadłam w obłąd. Jeśli tak, myślałam, to nigdy nie sądziłam, że szaleńcy mogą widzieć świat z taką ostrością, taką wyrazistością; ulice są takie same jak zawsze, chmury takie same jak zawsze, nic się nie zmieniło poza tym, że twój umysł się rozchwiał, trybiki wirują, oszalałe i niebezpiecznie obluźowane.

Idąc hałaśliwą ulicą w kierunku uniwersytetu, rozmyślałam o wszystkich latach, kiedy sumiennie przemierzałam

świat, ostrożnie i w pełni władz umysłowych, jakby wszystko było dobrze, jakby wszyscy w mojej rodzinie świetnie się czuli, jakby nic pod powierzchnią nie gniło, dopóki, wbrew wszelkim oczekiwaniom, nie zdecydowałam się pójść na psychologię. Po raz pierwszy wtedy sprzeciwiłam się ojcu w tak ważnej sprawie. Planował dla mnie karierę lekarza, jeszcze zanim przyszłam na świat, idealny zawód dla idealnej córki, jedyna droga, jaką był skłonny dla mnie zaakceptować. Kiedy po raz pierwszy oznajmiłam mu swoją decyzję, nie odzywał się do mnie przez wiele dni, a jego kampania trwała przez cały pierwszy rok studiów: „Jeszcze masz czas, Perlo, możesz przejść na medycynę, stracisz trochę czasu, lecz przynajmniej naprawisz ten błąd”.

– To nie błąd, Papá, tylko coś, czego chcę.

Pokręcił głową.

– Jesteś za młoda, żeby wiedzieć, czego chcesz.

– Wszyscy w moim wieku sami o sobie decydują.

– Ja nie rozmawiam o wszystkich.

Oparł wielkie, sękaty dłonie o stół i pochylił się. Przekonywał mnie surowym tonem, lecz patrzył na mnie błagalnie, niemal czule – wszystko, co najlepsze dla mojej księżniczki – a ja pragnęłam ująć jego dłonie, złożyć je przed sobą i przelać w nie to, czego się uczyłam. Spójrz tylko, spójrz, oto sekrety ludzkiego umysłu, skarby z morskich otchłani, a ja nurkuję po nie w głębinę, po zagubione klucze, które otworzą to, co od dawna tkwiło zamknięte w ciemności. Tak bardzo pragnęłam, aby ojciec wyciągnął do mnie rękę. I tak bardzo się za to nienawidziłam.

Przyszłam na zajęcia spóźniona o piętnaście minut. Pani

profesor uniosła brwi – Perlo, mówiły brwi, to do ciebie niepodobne – po czym kontynuowała. Wyjęłam zeszyt i próbowałam skupić uwagę na ewolucji Freudowskiej teorii snów. Przez lata zrozumienie tej dziedziny rozwinęło się i pogłębiło; wszyscy reagujemy na ciągłe sygnały wysyłane przez naszą podświadomość, lecz tylko szaleńcy widują w swoim mieszkaniu ociekające wodą upiory. Podniosłam przestraszona wzrok, ale, rzecz jasna, nikt nie usłyszał moich myśli. Notowałam skrupulatnie, jednak przez cały czas kartka papieru przed moimi oczami wydawała się daleka, nawet zamglona, jakbym patrzyła na nią przez szybę samochodu, po której spływają strumienie deszczu. W środku unosił mnie rwący potok, nie wiadomo dokąd – do salonu w moim mieszkaniu, do obłędu zaplątanego w wodorosty i do postaci nagiego człowieka lub nieczłowieka, leżącego właśnie teraz na podłodze, jęczącego albo mamroczącego, albo w milczeniu ociekającego wodą. Boże, kim on jest? Duchem? Potworem? Zwyczajnym smutnym bladym mężczyzną? Gabrieli, pomyślałam, gdybym tylko mogła do ciebie zadzwonić, ty na pewno wiedziałbyś, co zrobić, a przynajmniej wymyśliłbyś, jak należy zareagować albo odpędzić to coś, a w najgorszym razie otoczyłbyś mnie ramieniem, kiedy wieczorem wejdziesz do salonu i stawię temu czoło. Tak bardzo cię pragnę zobaczyć, lecz oczywiście po tym, jak się rozstaliśmy, nie będziesz chciał więcej o mnie słyszeć. Pani profesor zerknęła w moją stronę, powiedziała coś, co powinno mnie zainteresować, a ja, Perla, wzorowa studentka, pokiwałam mądrze głową. Nie usłyszałam, co mówiła, kłamałam, kiwając, tak, tak, jak posłuszna maszyna.

Moja przyjaciółka Marisol siedziała na drugim końcu sali; uśmiechnęła się na powitanie, a jej wzrok pytał: gdzie byłaś? Odpowiedziałam trochę wymuszonym uśmiechem, licząc, że nie podejdzie do mnie po zajęciach. Jeśli podejdzie, będę musiała się szybko wymknąć, a jeśli mnie złapie, powiem, że jestem umówiona. Zwykle co kilka dni chodziłyśmy na kawę, lecz w tym tygodniu jej unikałam. Od powrotu z Urugwaju. Rozmawiałyśmy tylko raz przez telefon.

– No i co? – spytała. – Jak było?

– Dobrze – odrzekłam, a skoro kłamstwo już uleciało z mych ust, za późno było, aby je cofnąć.

– Nie przyłapali cię?

Powiedziałam rodzicom, że wyjeżdżam z Marisol i jej rodziną.

– Nie, poszło gładko. Dziękuję, że mnie kryłaś.

– A jak było u jego rodziny?

– Czyjej rodziny?

– Perlo, daj spokój. U rodziny Gabriela oczywiście. Jak minęło spotkanie?

– Przepraszam cię, Marisol, ale to niezbyt dobry moment. Możemy porozmawiać później?

– Jasne. Zadzwoń do mnie, jak będziesz miała wolną chwilę.

Nie zadzwoniłam. Nie mogłam się zdobyć na to, aby wziąć do ręki telefon i przeprowadzić najzwyczajszą w świecie rozmowę, zrelacjonować przyjaciółce mój wyjazd z chłopakiem. Nie musiałabym się nawet szczególnie wysilać. Marisol nie należała do najlepszych słuchaczy, prawdopodobnie szybko zmieniałaby temat i zaczęła opowiadać o swojej ostatniej

kłótni z mamą. Ale nie miałam do tego serca, a teraz, kiedy w moim mieszkaniu leżał na podłodze nie wiadomo kto, tym bardziej nie czułam się na siłach wdawać w beztroską pogawędkę.

Jak by zareagowała, gdyby się o tym dowiedziała? Co by powiedzieli inni koledzy z zajęć? Wyobraziłam sobie panią profesor, jak analizuje interesujący przypadek: młoda kobieta wierzy, że widziała wodnego ducha, tak jak wy widzicie mnie, że podała mu szklankę, a on gryzł wodę jak jedzenie. Pamiętajcie, że wasza pacjentka jest przekonana o prawdziwości tego, co widzi, przywiązana do wiary w jego autentyczność, mimo że ją to dręczy. Jaka terapię byście zastosowali? Natychmiast podnoszą się ręce.

Kiedy zbudziłam się tego ranka, leżałam w łóżku i patrzyłam w sufit, obojętny, nieprzenikniony sufit, i błagałam go o normalny dzień. Normalny salon. Normalną ciszę w mojej głowie zamiast tych wrzaskliwych myśli, tego wiru, kłębowiska, gorączkowego zastanawiania się, co takiego, do diabła, wpłynęło do mojego domu.

Kiedy przyszły po niego czarne buty, był piękny dzień, z plasterkami jaskrawoniebieskiego nieba prześwitującego między budynkami. Teraz sobie przypomina kawiarnię, do której wszedł, wracając do domu. Mieściła się w połowie drogi między biurem a jego mieszkaniem – ładna i zwyczajna, ze ścianami w kolorze kości słoniowej, z gorzką kawą i małeńkimi ciasteczkami. Ludzie przechodzili szybko za oknem. To była dla niego tylko kolejna filiżanka kawy i kolejne okno.